

nad regułą
ŚWIĘTEGO
BENEDYKTA

Duchowość Wschodu i Zachodu

Małgorzata Borkowska OSB

nad regułą
ŚWIĘTEGO
BENEDYKTA
uwagi mniszki



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Projekt okładki: Katarzyna Bruzda
<http://katarzynabruzda.blogspot.com>

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów
L.dz. 56/2021, Tyniec, dnia 17.02.2021 r.
† Szymon M. Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie pierwsze, Kraków 2021

ISSN 1644-2288
ISBN 978-83-8205-095-0

© Małgorzata Borkowska OSB
© Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków
tel.: +48 (12) 688-52-90
tel./fax: +48 (12) 688-52-91
e-mail: zamowienia@tyniec.com.pl
www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:
Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
druk@tyniec.com.pl

Spis treści

Uwaga wstępna	9
<i>Prolegomenon</i>	11
<i>Reguła św. Benedykta zasady podstawowe</i>	13
<i>Opus Dei</i>	96
O niższych przełożonych	119
Kodeks karny	123
O zwykłych potrzebach i posłudze	137
O drobnych wykroczeniach	171
Aspekty monastycznego dnia	179
O członkach wspólnoty	215
Mnisi wobec świata	257
O gorliwości	265
Indeks rzeczowy	277
Indeks biblijny	299
O autorce	303

Dla Matki Ksieni Faustyny

Uwaga wstępna

Reguła św. Benedykta jest punktem dojścia kilkuset lat tradycji monastycznej i monastycznych eksperymentów. Czerpie też z nich obficie i nieraz wykorzystuje obszerne partie tekstów wcześniejszych – zwłaszcza *Reguły Mistrza* – ale to się dzieje nie przez mechaniczne kopiowanie, tylko na zasadzie świadomego wyboru. Benedykt wycina, co uważa za zbędne (a już zwłaszcza za zbyt drobiazgowy); **łączy, przestawia, dodaje – inaczej mówiąc, bierze z tradycji to i tylko to, do czego jest rzeczywiście przekonany i co uzupełnia własnym doświadczeniem i przemyśleniem.** Dlatego jego tekst jest całością spójną, autorską, i tak też będziemy go tutaj traktować; o ewentualnych źródłach jest sens wspominać tylko w wypadku, jeśli mogą one pomóc w interpretacji konkretnych przepisów albo naświetlić ich historię. Czasem także przez zestawienie kontrastowe można uwydatnić cechy umysłu i charakteru Autora naszej reguły.

Nadto, św. Benedykt ma rzymskie wyczucie prawa i dlatego kodyfikuje przede wszystkim zewnętrzne działanie osób prawu poddanych. Nie daje natomiast pełnego wykładu duchowości, oprócz tego, co konieczne dla uzasadnienia prawa. Nie tworzy tego, co byśmy nazwali teologią życia wewnętrznego, nie podaje praw rządzących rozwojem życia modlitwy, nie mówi o wielu sprawach dla tego życia kluczowych (choćby o Eucharystii). To nie znaczy, że nic o tym nie wie; wie dobrze, z doświadczenia i z lektury, ale w tych sprawach, przynajmniej poza prologiem,

odsyła swojego ucznia do innych tekstów, raczej ascetycznych i modlitewnych, niż prawnych. A więc do „naszego świętego ojca Bazylego” (który, Rzymianinem nie będąc, w swoich Regułach te dwie dziedziny wyraźnie miesza), do Kasjana, do Augustyna... Oczywiście, jak mówię, potrafi swoje przepisy uzasadnić teologicznie i ascetycznie, i te uzasadnienia tworzą już pewien wyraźny zestaw priorytetów i dążeń, który przywykliśmy nazywać duchowością benedyktyńską. Nie bójmy się jednak uzupełniać ten zestaw nauką tych, których on wylicza jako swoich mistrzów. Jesteśmy do tego zaproszeni.

Tekst biorę z przekładu Anny Świderkówny, dostępnego w sieci; jednak nie bez modyfikacji.

Prolegomenon

O mój ludu, to mówi Pan, który przychodzi na sąd: Mam przeciw tobie, żeś w mojej służbie namnożył sobie ideałów: złotych, srebrnych i glinianych. Oto ja przeciwko twoim ideałom, mówi Pan, byś ich nigdy nie osiągnął. Bo ja nie chcę, żebyś szukał ideałów, mówi Pan; ale żebyś szukał mnie.

O mój ludu, to mówi Pan, który przychodzi na sąd: Mam przeciw tobie, żeś w mojej służbie namnożył sobie postanowień: złotych, srebrnych i glinianych. Oto ja przeciwko twym postanowieniom, mówi Pan, żebyś ich nigdy nie spełnił. Bo ja nie chcę wypełniania postanowień, mówi Pan; ale tylko mojej woli.

O mój ludu, to mówi Pan, który przychodzi na sąd: Mam przeciw tobie, żeś w mojej służbie namnożył sobie moc wartości: złotych, srebrnych i glinianych. Oto ja przeciwko wszystkim twym wartościom, mówi Pan, żebyś nigdy im nie służył. Bo ja nie chcę, żebyś kochał jakąś wartość, mówi Pan; ale żebyś kochał mnie.

Reguła św. Benedykta zasady podstawowe

Prolog

SŁUCHAJ, synu, nauk mistrza i nakłoń ucho swego serca. Napomnienia łaskawego ojca przyjmuj chętnie i wypełniaj skutecznie, abyś przez trud posłuszeństwa powrócił do Tego, od którego odszedłeś przez gnuśność nieposłuszeństwa. Do ciebie więc kieruję teraz moje słowa, kimkolwiek jesteś ty, co wyrzekasz się własnych chęci, a CHCĄC SŁUŻYĆ POD ROZKAZAMI CHRYSYSTUSA, prawdziwego Króla, przywdziewasz potężną i szlachetną zbroję posłuszeństwa.

Postuchaj, córko, spójrz i nakłoń ucha; zapomnij o swym ludzie, o domu swego ojca... (Ps 45,11). To wezwanie jest ważniejsze niż wszystko inne; jakiegokolwiek względy czy więzi muszą przed nim ustąpić. Także więzi dotychczasowych przyzwyczajzeń, sumujących się na twoje „gnuśne nieposłuszeństwo”; także jeśli to wymaga całkowitego przełomu w twoim życiu. Radość z tego, że to twój Król cię wzywa, pomoże ci podjąć konieczne decyzje; pomoże ci najpierw te konkretne konieczności zauważyć. Nie byłoby tej radości, gdyby nie Jego wezwanie; ani nie byłoby pomocy. To On, wzywający, daje siłę do wykonania; to On cię uczy, jaką radością jest być Mu posłuszną. Radość powołania, radość posłuszeństwa powołaniu. Radość pierwszego kroku.

Przede wszystkim, gdy coś dobrego zamierzasz uczynić, módl się najpierw gorąco, aby On sam to do końca doprowadził. Wówczas, skoro raczył nas już zaliczyć do grona swoich synów, nie będzie musiał kiedyś się smucić naszymi złymi postępkami. Posługując się dobrem, jakie w nas złożył, powinniśmy zatem zawsze być Mu posłuszni, bo w przeciwnym razie mógłby nas nie tylko wydziedziczyć, jak rozgniewany Ojciec swoich synów, lecz także jak groźny Pan, obrażony naszą nikczemnością, wydać na wieczną karę sługi niegodne, gdyż nie chcieliśmy iść za Nim do chwały.

To On złożył w nas to dobro, które w sobie znajdujemy: wszelkie zdolności, wszelkie możliwości; ***Cóż masz, co by nie było darem?*** (por. 1 Kor 4,7). Złożył je w nas w określonym celu: w celu wezwania nas. Uzdolnił nas do podjęcia tego wezwania, uzdolnił nas do relacji z Nim, do miłości. Ona jest naszą tożsamością i naszą istotą. Poza tą relacją może istnieć tylko wieczna niezgodność z własną naszą tożsamością, z naszym prawdziwym celem istnienia. A wchodząc w tę relację coraz głębiej, poznajemy, że to On prowadzi nas do tego, do czego nas stworzył. Nasza modlitwa o pomoc jest jak zacieśnianie palców na tej prowadzącej nas dłoni.

Powstańmy więc wreszcie, skoro Pismo Święte zachęca nas słowami: *Teraz nadeszła dla nas godzina powstania ze snu* (Rz 13,11). Otwórzmy nasze oczy na przebóstwiający światło, a nasze uszy na głos Boży, który nas codziennie napomina wołając: *Obyście usłyszeli dzisiaj głos Jego: nie zatwardzajcie serc waszych* (Ps 96,8). I znowu: *Kto ma uszy, niechaj postyszy, co mówi Duch do Kościołów* (Ap 2,7). A co mówi? *Pójdźcie, synowie, słuchajcie mnie, nauczę was bojaźni Pańskiej. Biegnijcie, dopóki macie światłość życia, aby ciemności śmierci was nie ogarnęły* (Ps 34,12; J 12,35).

Pójdź za mną – powiedział Pan do celnika (Mt 9,9), a ten wstał i poszedł. Wszystko zostawił, czym się zajmował, o czym myślał, co planował i co już zdobył. Jakby ze snu powstał, jakby odrzucił senne widziadła i znalazł się w rzeczywistości, na jawie. A to nie było zaproszenie do jeszcze lepszego interesu, ani propozycja awansu, ani oferta jakiegokolwiek innej bezosobowej „wartości”, choćby i duchowej; to było spotkanie ja-Ty, i spojrzenie, oko w oko, Osoba miłująca z osobą miłowaną. Jeśli się zastanowić, to owszem, zrobił świetny interes zamieniając ludzką posadę na królestwo niebieskie i awansując z rzymskiego urzędniczyny na Apostoła i Ewangelistę dla całego świata; ale on o tym nie myślał. Rozpoznał miłość Bożą w spojrzeniu Jezusa; uwierzył i ukochał; więc też i pobiegł natychmiast, nie obliczając, co mu to da albo co go to będzie kosztować. Może pierwszy raz w życiu nie tracił czasu na liczenie, tylko pobiegł, wezwany przez miłość. I co jeszcze ważniejsze: pozostał tej miłości wierny do śmierci.

Ale jest w Ewangelii także inny bogacz, który takiego wezwania nie umiał przyjąć. Przyszedł pytać o drogę do życia wiecznego (Mk 10,17) i okazało się, że do moralnej doskonałości dążył już od dziecka, przestrzegając przykazań. A jednak na propozycję wyzbycia się majątku i wejścia do grona uczniów Pańskich odszedł smutny. Czego zabrakło? Właśnie nie czego, tylko Kogo. Ten człowiek dążył do dóbr realnych, ale bezosobowo traktowanych: do zbawienia, do doskonałości. Do czegoś swojego, a więc w gruncie rzeczy do siebie. I dlatego niczego swojego nie umiał się wyzbyć. W dodatku Piotr zapamiętał, a Marek zapisał, że Jezus spojrzał na tego petenta z miłością; ale nawet spotkanie takiego spojrzenia nie obudziło serca, które szukało dóbr Bożych, a nie Boga samego. Takie serce albo

nie odpowiada na Boże wezwanie, albo nie pozostaje wierne, jak ziarno rzucone na płytką glebę.

Pośród liczego tłumu, któremu Pan mówi te słowa, szuka On sobie współpracownika i raz jeszcze powtarza: *Któż jest człowiekiem, co miłuje życie i pragnie widzieć dni szczęśliwe?* (Ps 33,13 Wlg). Jeśli słysząc to, odpowiesz: „Ja”, powie ci Bóg: *Skoro chcesz mieć prawdziwe i wieczne życie, powściągnij swój język od złego, od słów podstępnych twe wargi. Odstąp od złego, czyni dobro; szukaj pokoju, idź za nim* (Ps 34,14–15). *Gdy tak będziecie postępować, oczy Moje zwrócone będą na was, a uszy moje otwarte na prośby wasze. I zanim mnie wezwiecie, powiem: «Oto jestem»* (Iz 58,9). Cóż dla nas milszego, bracia najdrożsi, nad ten Boży głos zaproszenia? Oto w swej łaskawości Pan sam ukazuje nam drogę życia.

Zanim Go jeszcze rozpoznaliśmy na tyle, żeby go wzywać, On już mówi: *Oto jestem*. I mówi: *Zanim ukształtowałem cię w łonie matki, znałem cię, nim przyszedłeś na świat, poświęciłem cię* (Jr 1,5). Patrząc teraz wstecz na historię naszego powołania, stwierdzamy, że ono było **właściwie rozpoznaniem** – nareszcie! – Tego, który stał przy nas od początku i mówił do naszego serca, chociaż my braliśmy ten głos za jakieś perspektywy doczesnych radości. Ale żadna inna radość nie jest warta Bożego głosu zaproszenia.

W świetle tej radości traktujemy z początku słowa, że trzeba będzie jak najpełniej odwrócić się od złego i opanować swój język, jako wymagania niewielkie i oczywiste. I słusznie, że oczywiste, ale później przyjdzie nam jeszcze nie raz stwierdzić, że dla naszej słabości są wielkie. Niemniej to przecież Bóg ukazuje nam drogę do siebie, do ostatecznego spotkania, do zjednocze-

nia; i nie tylko ukazuje, ale prowadzi nas i wspomaga. Czy zwycięstwa, czy upokorzenia – wszystko będzie umiał obrócić nam na dobro i uczynić jednym wielkim swoim zwycięstwem. I tym zwycięstwem chce się z nami podzielić.

Warto przy tym zwrócić uwagę na fakt, że to właśnie opanowanie języka zalecone nam jest w psalmie – i w tekście *Reguły* – jako najpilniejsze, jako początek wszystkiego. Ta praca może wprawdzie trwać do śmierci bez spektakularnych efektów, ale jednak należy ją zacząć od razu, na wstępie. Trzeba sięgnąć w tej sprawie po list św. Jakuba (3,1–12), gdzie nieopanowany język jest przedstawiony jako główne źródło zła, dziejącego się na świecie. Już teraz więc, w samym początku nawrócenia, ten problem staje przed nami jako szczególnie ważny. I nic dziwnego. Nasza własna gadanina, nawet i najwznioślejsza, może całkiem skutecznie zagłuszyć ten najmilszy głos Bożego zaproszenia. Dlatego nie najlepiej rokują te kandydatki, które od pierwszej chwili powołania muszą opowiadać wszystkim dookoła o swoim wezwaniu i swoich planach. Istnieje poważne ryzyko, że przeżycie było płytkie i że się całe rozmyje w tej gadaninie. Kto słyszy zaproszenie Boże w głębi serca, tam je też przechowuje, aż by dojrzało do czynnego wykonania. Kto zachwycił się Bogiem, nie może zachwycać się sobą i dlatego nie szuka roli gwiazdy w pożegnalnym widowisku „Ona odchodzi”. Inna rzecz, że dzisiaj żyje się niemal na ekranie, więc tego widowiska może być nie sposób uniknąć.

Przepasawszy więc biodra wiarą i pełnieniem dobrych uczynków, podążajmy ścieżkami Pana za przewodem Ewangelii, abyśmy zasłużyli na oglądanie Tego, który nas wezwał do swego Królestwa. Jeśli zaś pragniemy zamieszkać w przybytku Jego Królestwa, musimy biec drogą dobrych uczynków, gdyż inną tam się nie dochodzi.

Wezwał nas do swego Królestwa, a jednocześnie w tej samej Ewangelii pouczył nas, że ono jest w nas już teraz (por. Łk 17,21). Królestwem Bożym jest Jego własna obecność. Póki więc trwamy w doczesności, jesteśmy wciąż jeszcze jakby w bramie albo na ganku: otwarta droga tak do środka, jak i w tył, chociaż oczywiście (jeśli się już mamy konsekwentnie trzymać tej przenośni) On nas ze środka i tak potrafi osiągnąć i wspomóc. Ale w każdym razie nie mamy do Niego daleko. Ludzie nieraz wyobrażają sobie tzw. Oko Opatrzności na wzór jakiegoś monitora, który zdalnie rejestruje ich uczynki; w rzeczywistości to jest miłująca Obecność, która pracuje nad tym, żeby to wszystko, co nas dotyczy, czy nam się to przedstawia jako miłe czy jako niemiłe, prowadziło nas ostatecznie do wnętrza przybytku.

Zapytajmy zatem Pana razem z Prorokiem: *Kto będzie przebywał w przybytku Twym, Panie, kto zamieszka na Twojej świętej górze?* (Ps 15,1). A zapytawszy słuchajmy, bracia, jak Pan odpowiada i ukazuje nam drogę do swego przybytku mówiąc: *Ten, kto postępuje bez skazy, działa sprawiedliwie, a mówi prawdę w swym sercu i nie zwodzi swym językiem; ten, który nie czyni bliźniemu nic złego i nie słucha oszczerstw przeciw swemu sąsiadowi* (Ps 14,2–3 Wlg). A gdy diabeł mu coś doradza, odtrąca go razem z jego podszeptami daleko od swego serca i od razu wniwecz obraca, a rodzące się pokusy rozbija o Chrystusa.

Właściwie cały prolog do *Reguły* to jakby relacja o naszym powołaniu, o pierwszym spotkaniu Boga. Dowiadujemy się, że On rzeczywiście jest dostępny i że nas wzywa, więc radośnie postanawiamy Mu służyć. Poświęcić Mu życie, skoro okazało się, że to możliwe. Następuje kolejne odkrycie: nie wiemy jeszcze, jakiego konkretnie życia On od nas chce, ale przecież On sam

wie i będzie nas prowadził stosownie do tego planu. Zostawiamy więc dalszą przyszłość w Jego rękach, a pytamy, jak i czym w tej chwili możemy Mu służyć. I Pan ukazuje nam drogę na dzisiaj, prowadzącą zarazem prosto do tego celu, jeszcze dalekiego, który nam wyznacza. Ta droga to życie dzisiaj według Jego praw, życie Jego prawami. Właśnie życie: wybór i realizacja tych wyborów czynem, teraz. Nie dopiero jutro, ani „kiedy już będę w klasztorze”.

Dzieci – mówi św. Jan – *nie mitujmy słowem i językiem, ale czynem i prawdą! Po tym poznamy, że jesteśmy z Prawdy i uspokojimy przed Nim nasze serce* (1 J 1,18–19). Przed własnym sumieniem można próbować wykrętów, ale przed spojrzeniem Bożym nie. Toteż wszystko teraz zależy od tego, czy żyjemy w świadomości tego spojrzenia, w stałej relacji z naszym Panem, który nas wezwał i nadal wzywa ku światłu – czy też tylko we własnym towarzystwie, zajęci myślami bądź pustymi, bądź coraz bardziej samolubnymi. Krótko mówiąc: czy Bóg jest dla nas „On”, czy „Ty”. Jest całe mnóstwo szczegółowych rad co do postępowania, ale wszystkie one mają trwałe powodzenie tylko pod warunkiem, że się szuka nie tylko rozwiązywania kolejnych małych problemów, ale przede wszystkim bliskości Chrystusa. Przewodnik, Słup Ognisty, towarzysząca nam duchowa Skąła – jakiegokolwiek biblijne tytuły chcemy Mu nadać, wszystko sprowadza się do tego, że nie ma dla nas drogi, jak tylko do Niego i przy Nim.

A to *rozbijanie pokus o Chrystusa* polega na tym, żeby rozumieć, że każda pokusa to nie jest klęska, ale szansa. Klęską może być najwyżej dla naszej pychy, bo już sobie wyobrażaliśmy, że jesteśmy ponad takie sprawy, a tu masz. Ale to jest szansa zwycięstwa: Bożego, Chrystusowego zwycięstwa, w którym zostaje nam dany udział na miarę naszych sił. Ktoś mądrze powiedział,

że za każdą pokusą, za każdą próbą stoi Chrystus i prosi, żeby Go wybrać jeszcze raz. Więc to jest właśnie szansa: szansa okazania Mu miłości nie przez słowne deklaracje, nie na gębę tylko, ale rzeczywiście.

Tacy ludzie, pełni bojaźni Pańskiej, nie wpadają w zarozumiałość, gdy widzą, że dobrze postępują. Uznają bowiem, że nawet to dobro, jakie w nich jest, nie z własnej ich mocy, lecz od Pana pochodzi. Wielbią zatem Pana, który w nich działa i wołają razem z Prorokiem: *Nie nam, Panie, nie nam, lecz Twemu imieniu daj chwałę* (Ps 115,1). Podobnie i Paweł Apostoł nie przypisywał sobie zasługi z racji swej pracy apostołskiej, lecz mówił: *Z łaski Bożej jestem tym, czym jestem* (1 Kor 15,10), a kiedy indziej znowu: *Kto się chlubi, niech się z Pana chlubi* (2 Kor 10,17).

To odkrycie, że wszelkie dobro w nas zachodzące to Pan właśnie sprawuje, a nie my sami, robimy oczywiście już na samym początku drogi, i dlatego znajdujemy je także w Prologu; niemniej to samo będziemy musieli mozolnie odkrywać znowu i znowu, przez całe życie. Jest w człowieku odwieczna skłonność do chwalenia się swoimi osiągnięciami. W kulturach mniej przemądrzałych od naszej był nawet zwyczaj chlubienia się publicznego, wręcz obrzędowego: cały zebrany ród słuchał na przykład, jak wojownik, powróciwszy z wojny, wymachując włócznią, chwali się swoimi walecznymi czynami i pokazuje przyniesiony łup. Takie publiczne samochwalstwo było wciąż jeszcze całkiem normalne: czymże innym był zresztą rzymski triumf zwycięskiego generała? Ba, przecież nawet samą Mądrość Bożą autorzy biblijni przedstawiają jako wyliczającą własne powody do chluby (Mdr 8,4; Syr 24,1–22). Pawłowa

wskazówka co do chlubienia się w Panu (po polsku lepiej: z Pana) nawiązuje do tekstu Jeremiasza. Prorok pisze: *To mówi Pan: Mędrzec niech się nie szczyci swą mądrością, siłacz niech się nie chęłpi swą siłą, ani bogaty niech się nie przechwala swym bogactwem. Raczej chcąc się chlubić, niech się szczyci tym, że jest roztropny i że Mnie poznaje, iż jestem Jahwe, który okazuje łaskawość* (Jr 9, 22–23). To jest jedyny skarb i siła człowieka: jeśli może przyłgnąć do Boga i żyć dla Niego. Oczywiście i tego przyłgnięcia nie może sobie samemu przypisywać – zaproszenie Boże było pierwsze – więc jedyne, co człowiek rzeczywiście powinien chwalić i co może chwalić bezpiecznie, to nawet nie własna doskonałość jako sługi Bożego, ale doskonałość Boga. Boża łaskawość. W tym świetle lepiej rozumiemy ten fragment drugiego listu do Koryntian, w którym Paweł próbuje się przechwalać, z całą zresztą świadomością, że to ryzykowne: i wymienia najpierw powody do chluby zgoła nie będące jego zasługą, jak pochodzenie, a później takie, które po ludzku można by nazwać zasługą, jak działalność apostołska; ale wszystko po to, żeby ostatecznie stwierdzić, że jedyną realną wartością w jego życiu jest ta słabość, która przywołuje miłosierdzie Boże (2 Kor 11,21–12,10).

Dlatego też Pan powiada w Ewangelii: *Każdego, kto tych słów moich słucha i wypełnia je, można porównać z człowiekiem roztropnym, który dom swój zbudował na skale. Wezbrały potoki, zerwały się wichry i uderzyły w ten dom. On jednak nie runął, bo na skale był utwierdzony* (Mt 7,24–25). Aby wszystko doprowadzić do końca, Pan oczekuje, że będziemy codziennie odpowiadać czynami na te Jego święte napomnienia. A chcąc, byśmy zdążyli poprawić się z grzechów, przedłuża nam dni tego życia zgodnie ze słowami Apostoła: *Czyż nie wiesz, że dobroć Boża chce cię*

przywieść do nawrócenia? (Rz 2,4). Łaskawy bowiem Pan mówi:
Nie chcę śmierci grzesznika, lecz aby się nawrócił i żył (Ez 33,11).

To więc właśnie jest jedyny pożyteczny fundament do naszego budowania, albo inaczej: jedyny dobry start do naszej drogi. Zaufać Bogu; ale zaufać czynnie, przez faktyczne posłuszeństwo Jego nakazom. On doprowadził nas do nawrócenia się, do wybrania Jego miłości – i będzie nas nadal prowadził, do kolejnych nawróceń, z tej małej jeszcze dzisiejszej miłości na większą miłość. Pewien poeta pisał podobno do swojej wybranej: „Kocham cię dzisiaj więcej niż wczoraj, a mniej niż jutro”: to powinno być prawdą o naszej miłości do Boga.

A On sam prowadzi nas taką drogą także z miłości, czynnej miłości, która chce dla nas dobra, wiecznego szczęścia. Przecież tej miłości dowiódł; przecież nie patrzy na nas z bezpiecznego miejsca, przecież sam osobiście wszedł w naszą rzeczywistość, zaangażował się w nią aż do krzyża. Zaangażował się czynnie, więc i nas prosi o czynną odpowiedź. I to codzienną. I mógłby ktoś powiedzieć: Dobrze, że nas przynajmniej uprzedzono o całym tym ogromie wysiłku codziennej czujności, który na nas czeka. Ale rzecz w tym, że to nie jest ciężar do dźwigania (ze zrozumiałym stękaniami) – tylko szansa, do podjęcia, z radością. Bóg nie chce naszej duchowej śmierci, ale życia i dlatego nam pokazuje, jak mamy do tego życia dążyć; poucza, pomaga, pociąga.

Gdyśmy więc, bracia, zapytali Pana, kto może zamieszkać w Jego przybytku, usłyszeliśmy w odpowiedzi, co należy czynić, by w nim zamieszkać. Obyśmy wypełniali obowiązki tego, który tam ma mieszkać! Powinniśmy więc przygotować nasze serca i ciała do walki pod świętym posłuszeństwem przykazaniom Bożym, A gdy coś zbyt trudne będzie dla naszej natury, prosimy

wówczas Pana, by kazał łasce swojej przyjść nam z pomocą. Jeśli pragniemy uniknąć kar piekła i osiągnąć życie wieczne, to póki jest jeszcze czas, póki w tym ciele będąc możemy wszystko to wypełniać w świetle ziemskiego życia, śpieszmy się i to tylko czynimy, co nam przyniesie korzyść na wieczność.

Po pierwszej decyzji oddania życia Bogu staje przed nami jako konsekwencja wsłuchanie się w Jego głos dla wyboru konkretnej drogi; ale już od początku wiemy, że jakakolwiek to będzie droga, zakonna czy świecka, musi ona być drogą posłuszeństwa wobec Boga i Jego nakazów. Usiłujemy to wyrazić przez ziemskie obrazy: służba, walka, droga... wszystkie te obrazy zakładają uznanie nad sobą autorytetu: pana, wodza, przewodnika. Ten autorytet uznajemy i miłujemy – On pierwszy nas umiłował – i dlatego, z miłości właśnie, rodzi się nasze posłuszeństwo. Bo jakakolwiek będzie ta droga, już sam jej wybór jest posłuszeństwem: jest decyzją pójścia nie za własnym pomysłem na szczęście, ale za rozpoznaniem powołaniem, za tym Bożym wezwaniem, które wydaje się nam wystarczająco prawdopodobne, żeby na nie postawić życie. Inaczej mówiąc, zaczynamy od posłuszeństwa i posłuszeństwa szukamy; liczymy na to, że Bóg nas go po drodze nauczy. To oczywiście nie jest i nie może być jedno nagłe oświecenie, po którym by już wszystko było zrozumiałe i łatwe, ale proces rośnięcia i dojrzewania, długi i często mozolny, jak długi jest rozwój drzewa. Dlatego nie należy się zrażać niepozornością ziarenka, od którego zaczynamy; ani monotonnym ciągiem przyśpieszeń i przygaszeń, analogicznym do cyklu letniego rozwoju i zimowego spoczynku. Uczymy się stopniowo i powoli. A kto chce się uczyć, szuka szkoły. Jedną z takich szkół jest klasztor benedyktyński.

Mamy zatem założyć szkołę służby Pańskiej. Ufamy przy tym, że zakładając ją nie ustanowimy nic surowego ani nazbyt trudnego. Jeśli jednak niekiedy dla naprawienia błędów i zachowania miłości, tam gdzie sprawiedliwość i rozsądek tego wymagają, okazemy się nieco bardziej surowi, nie uciekaj od razu, przejęty strachem, z drogi zbawienia, bo wejść na nią można tylko ciasną bramą.

Do klasztoru nie idzie się dla klasztoru, ani dla jakichkolwiek ludzkich względów; do klasztoru idzie się dla Boga, któremu chcemy oddać życie. Niemniej już nawet w pierwszej euforii powołania kandydatka rozumie, albo przynajmniej przeczuwa, że samo wstąpienie to dopiero początek drogi, że prawdziwej służby musi się dopiero nauczyć, bo ma o niej na razie w najlepszym wypadku blade pojęcie. Nie chodzi tu o nauczenie się zewnętrznych form życia klasztornego, bo to nie jest ani trochę trudniejsze niż dostosowanie się do trybu życia jakiegokolwiek nowego środowiska; ale chodzi o postawę serca i jego rozwój, właśnie rozwój służby. Bo przecież całe stworzenie poddane jest prawu rozwoju, nic w naturze nie zjawia się w swojej formie ostatecznej, jakby z taśmy produkcyjnej spadło i już było gotowe do użytku. Nawet góry i kontynenty zmieniają kształt. Istnieje rozwój fizyczny, istnieje i rozwój duchowy. I pierwsze, co się św. Benedyktowi kojarzy z tym duchowym rozwojem, to trudności.

Lojalnie też o nich uprzedza. Rzecz w tym, że na początku drogi, uszczęśliwieni i zafascynowani, dostrzegamy przede wszystkim spływające na nas dary Boże: wezwanie, zrozumienie, radość... Toteż potrzebujemy szkoły, nieraz długiej, żeby nauczyć się szukać samego Dawcy, raczej niż Jego darów; a tego nie można się nauczyć inaczej niż w okresach, w któ-

rych odczucie odbioru darów zanika i stajemy przed wyborem: czy zniechęcić się i zrezygnować ze służby, czy też dochować ich Dawcy wierności i tak. To, co w życiu wewnętrznym nazywamy okresami ciemności, to jest właśnie ta ciasna brama, przez którą musi się przecisnąć nasza wierność; inaczej okaże się tylko fikcją albo tylko postawą najemnika, który służy za zapłatę. A kiedy zapłaty zabrakło, to szuka innej służby. Żeby się nauczyć prawdziwie kochać, trzeba tę swoją miłość kształtować i hartować właśnie w pustce i osamotnieniu, w rosnącym a bolesnym zrozumieniu, jak bardzo sami z siebie jesteśmy niczym. I jakie płaskie z nas nic. Jedynym autentycznym przejawem miłości i jedynym prawdziwym jej dowodem jest wtedy wierność. A reguła zakonna wskazuje, gdzie są najważniejsze punkty, dające nam szansę nauki wierności. I to czasem określa się jako jej trudność.

Gdy będziesz postępował naprzód w życiu wspólnym i w wierze, serce ci się rozszerzy i pobiegiesz drogą przykazań Bożych z niewysłowioną słodyczą miłości. Tak, nie odstępując nigdy od nauki Pana, w Jego prawdzie wytrwajmy w klasztorze aż do śmierci, **ABYŚMY PRZEZ CIERPLIWOŚĆ STALI SIĘ UCZESTNIKAMI MĘKI CHRYSZTUSOWEJ** i zasłużyli na udział w Jego Królestwie. Amen. Koniec Prologu.

Szkoła więc jest dożywotnia, nauka nie kończy się nigdy; nie próbujemy Bogu wydzierżawić się tylko na jakiś określony czas. I to się zgadza od samego początku z doświadczeniem monastycznym; Ojcowie Pustyni, którzy są dla św. Benedykta autorytetem, uczyli nieraz, że wierność potrzebna jest do ostatniego tchnienia. Toteż i rozwija się do ostatniego tchnienia. Ale też perspektywę ukazano nam oszołamiającą: cierpliwość, wierność

jest dostępnym nam udziałem w samej ofierze Chrystusa. A On złożył siebie Ojcu w całkowitej ofierze miłości; i daje nam tę szansę, że możemy niejako znaleźć się w tej Jego ofierze, w tej niebiańskiej liturgii trynitarnej – tylko przez to, że przyjmujemy Jego zaproszenie i odpowiadamy wiernością. Skoro wybieramy Chrystusa, skoro Jego chcemy uznać za nasze życie i za naszą miłość, to trzeba nam uczyć się Jego sposobu myślenia, Jego perspektyw, Jego priorytetów. Przede wszystkim więc Jego miłości do Ojca; ale w tę miłość On wciąga także nas, ludzkość. Więc i Jego miłości do ludzkości. Wiernej miłości. Napisano, że On pierwszy nas umiłował; ale możemy także powiedzieć, że On pierwszy okazał nam wierność. Niejako z góry. Więc ta wierność domaga się naszej wierności.

I właśnie dojrzewanie w wierności, to „postępowanie naprzód w życiu wspólnym i w wierze” jest naszym przedmiotem nauki. Zauważmy, że życie wspólne jest tu postawione na początku, nawet przed wiarą, a to pewnie dlatego, że wiara kończy się, a miłość trwa na wieki. Wiara w wieczności nie będzie już potrzebna, bo ją zastąpi widzenie. Miłość tutaj przyjęta i w czyn wprowadzona nie może mieć nigdy końca. A jedynym sprawdzianem, czy miłujemy Boga, jest – jak uczy św. Jan – to, czy miłujemy bliźniego (por. 1 J 4,20–21). Co zresztą także płynie z wiary. Wspólnota zakonna jest więc przez samo swoje istnienie naszą szkołą miłości; w tej szkole wszyscy nawzajem dla siebie jesteśmy nauczycielami, a zarazem także rodziną, bez której już nie śmielibyśmy pukać do bram Królestwa.

Otóż pomimo pełnej świadomości, że nauka trwać musi aż do ostatniego oddechu, św. Benedykt wie z doświadczenia i zapewnia, że w miarę nabierania wprawy w tym naszym rzemiośle przychodzą na nas nie tylko już okresy ciemności i próby, ale

także radości: tej „niewysłowionej słodczy miłości” która w dostępnej nam na ziemi mierze ogarnia nas, ilekroć Bóg zechce, dając nam przedsmak celu ostatecznego. A czasem bywa i tak, że ciemność i radość nie wykluczają się nawzajem, ale jedna podkreśla drugą. Bo możemy się w końcu cieszyć (jak św. Paweł) właśnie z tego, że jesteśmy niczym; skoro już wiemy, że to nieważne, że ważny jest tylko Bóg.

1. O różnych rodzajach mnichów

Cztery są, jak wiadomo, rodzaje mnichów. Pierwszy nosi nazwę cenobitów, tj. tych, którzy żyją w klasztorze i pełnią służbę pod regułą i opatem.

Święty Benedykt opisuje tu stan życia monastycznego w czasach, kiedy po pierwszych dwu i pół wiekach spontanicznego rozwoju i eksperymentu zaczęła się już rysować możliwość wyciągania wniosków z doświadczeń. Rozróżnia cztery formy tego życia, ale wymienia je nie w chronologicznej kolejności powstawania, tylko – według swojej oceny – od najlepszej do najgorszej. Niewątpliwie życie wspólne zjawilo się bardzo wcześnie, ale jednak pustelnicy byli pierwsi. Oczywiście przez długi czas granica między tymi stanami była płynna: grupy uczniów gromadzących się przy poszczególnych mistrzach miały różny stopień wspólnoty życia. Niemniej, przynajmniej odkąd zaistniały klasztory pachomiańskie, a więc już od połowy czwartego wieku, można było wybrać jeden z tych rodzajów życia – w pustelni albo we wspólnocie – od samego początku, od „nawrócenia”. Co nie znaczy, że nie można go było potem zmienić. Zauważmy, że już w tym krótkim zda-